



Wolność, braterstwo... różnorodność?

Walter Benn Michaels¹

„W 2001 r. kwestia różnorodności w ogóle nie istniała, podczas gdy dziś wokół niej toczy się cała debata.”² - odnotował dziennik *Libération*, zwracając uwagę na (ciągle jeszcze oceniany jako nieznaczący) wzrost liczby lewicowych kandydatów w wyborach lokalnych z marca 2008 r., o których mówi się, że „stawiają na różnorodność”. A przecież lewica wcale nie ma monopolu na refleksję nad różnorodnością we Francji. W końcu to Nicolas Sarkozy parę miesięcy wcześniej zaproponował wpisanie tejże wartości do konstytucyjnej Preambuły – przywódca chciał w ten sposób „wspierać zróżnicowanie etniczne”³ w łonie francuskich elit.

Taki rozwój sytuacji we Francji może budzić w obywatelu amerykańskim mieszane uczucia. Po pierwsze, zaskoczenie. Mija już prawie trzydzieści lat, odkąd różnorodność zajmuje coraz bardziej centralne miejsce w życiu politycznym, społecznym i – przede wszystkim – ekonomicznym Stanów Zjednoczonych. Skąd u Francuzów takie opóźnienie? Po drugie, rozczarowanie. Po jakie лихо Francja postanowiła to „opóźnienie” nadrobić? Moja książka nie odpowiada na pierwsze pytanie – stanowi ono raczej temat studiów dla historyków. Postaram się za to dać odpowiedź na drugie. Już sam okazał się wachlarz zdeklarowanych obrońców różnorodności – od ruchu Indigènes de la République⁴ po aktualnego szefa francuskiego rządu – stanowi, ze względu na swe rozmiary, nie najgorszy punkt wyjścia.

Zarys odpowiedzi pojawia się przy dokładniejszym zbadaniu pytania, jakie postawił jeden z bojowników ruchu Indigènes de la République – chociaż nie tyle o różnorodność, co o równość: „Co konkretnie oznacza paradoksalne stwierdzenie o równości bogatych i biednych, burżuazji i proletariuszy, szefów i robotników, panów i sług, białych i nie-białych, mężczyzn i kobiet, hetero- i homoseksualistów?”⁵ Ważna jest tutaj sama forma pytania, a w szczególności strukturalne przesunięcie dokonujące się przy ustawieniu na tej samej płaszczyźnie opozycji między „panami a sługami” i „białymi a nie-białymi”. A przecież nierówności między białymi i nie-białymi – podobnie jak między mężczyznami i kobietami, hetero- i homoseksualistami – wynikają przede wszystkim z dyskryminacji i uprzedzeń. A ponieważ wywodzą się z rasizmu i seksizmu, do ich wyeliminowania wystarczy wykorzystać –

1 Profesor literatury na Uniwersytecie Stanu Illinois w Chicago, autor m.in. *The Trouble with Diversity: How We Learned to Love Identity and Ignore Inequality* (Nowy Jork 2006, francuski przekład ukaże się w lutym tego roku).

2 *Libération*, 8-9 marca 2008.

3 Associated Press (AP), 27 listopada 2008.

4 Mouvement des Indigènes de la République – stowarzyszenie francuskich mniejszości etnicznych mające na celu walkę z dyskryminacją, przede wszystkim ze względu na rasę i religię; powstało w odpowiedzi na ustawę zakazującą noszenia widocznych symboli religijnych w szkołach.

5 <http://www.lmsi.net/spip.php?article471>, październik 2005.

rasizm i seksizm.

Jednak nierówności między bogatymi i biednymi czy między kadrą kierowniczą i robotnikami nie biorą się ani z rasizmu, ani z seksizmu – wynikają z kapitalizmu i stosunków własności. W obszarze nierówności ekonomicznych rasizm i seksizm funkcjonują w charakterze systemów sortujących: nie generują nierówności jako takiej, ale dystrybuują jej efekty. To dlatego nawet najpełniejsze zwycięstwo odniesione nad rasizmem czy seksizmem nie zasypie fosy oddzielającej bogatych od biednych. Po prostu zmieni się rozkład bogactwa ze względu na płeć, orientację seksualną i kolor skóry. Francja, w której majątek posiadałaby większa liczba czarnych, pod względem ekonomicznym nie byłaby wcale bardziej egalitarna – byłby to po prostu kraj, gdzie przepaść dzieląca bogatych czarnych i biednych czarnych ziałaaby szerzej.

Z pewnością sytuacja francuska pod wieloma względami pozostaje wyjątkowa: od czasów zaraz po wojnie aż po koniec lat siedemdziesiątych dominujące nurty lewicowe koncentrowały się przede wszystkim na nierównościach ekonomicznych. Zagadnienia związane z feminizmem, rasizmem, homoseksualizmem itd. kwalifikowane były jako „problemy drugorzędne” lub zwyczajnie ignorowane. Jednak od mniej więcej ćwierćwiecza porządek priorytetów odwrócił się: od liberalnego zwrotu w 1983 r. walka z dyskryminacją (jej klasycznym przykładem pozostaje stowarzyszenie SOS Racisme) zastąpiła jako polityczny priorytet wcześniejsze „odcinanie się od kapitalizmu”. Zaangażowanie na rzecz różnorodności, zamiast dopełniać, najczęściej zastępuje walkę o równość, a przez to osłabia polityczne bariery stawiające odpór liberalnym naciskom.

Starania o wyrugowanie rasizmu i seksizmu okazują się znakomicie współgrać z ekonomicznym liberalizmem, inaczej niż chęć zmniejszenia – nie mówiąc już nawet o zasypywaniu – przepaści dzielącej bogatych i biednych. Francuska klasa panująca jednocześnie afiszowała się ze swoim zaangażowaniem na rzecz różnorodności (walcząc z przesadami, ale też celebując „odmienność”) i podkreślała swoje liberalne skłonności. Taką tendencję, charakterystyczną dla prawicy (której ucieleśnieniem pozostaje Nicolas Sarkozy), często odnajduje się także wśród osób deklarujących sympatie lewicowe. Tymczasem, w gruncie rzeczy, umacniająca się we francuskim życiu intelektualnym pozycja kwestii „narodowej tożsamości” – czy się ją, tak jak prezydent Republiki, celebrowa, czy kontestuje, jak Indigènes – maskuje stały wzrost nierówności ekonomicznych, charakterystyczny dla światowego porządku neoliberalnego.

Oczywiście nie jest intencją tego tekstu obrona tezy, że dyskryminacja pozytywna (czy, ogólniej, zaangażowanie na rzecz różnorodności jako takie) wzmacnia nierówności. Chodzi przede wszystkim o wykazanie, że leżąca u podstaw walki na rzecz różnorodności koncepcja sprawiedliwości społecznej (nasze zasadnicze problemy społeczne wynikają raczej z dyskryminacji i nietolerancji, aniżeli z wyzysku) sama wywodzi się z koncepcji neoliberalnej. Mamy tu do czynienia przede wszystkim z parodią, w ramach której legitymizuje się powiększający się ekonomiczny rozdział między bogatymi a biednymi, o ile tylko wśród bogaczy znajduje się proporcjonalna liczba czarnych, śniadych i żółtych, a nie tylko białych, oraz tyle samo kobiet, co i mężczyzn i odpowiednia proporcja homo- i heteroseksualistów. Tego rodzaju „sprawiedliwość społeczna”, mówiąc wprost, oznacza zgodę na nierówności generowane przez kapitalizm. Można nawet powiedzieć, że optymalizuje system gospodarczy, gdyż dystrybuuje nierówności, nie zważając na pochodzenie etniczne czy płeć. Różnorodność to nie metoda zaprowadzania równości, tylko sposób na zarządzanie nierównościami.

Mimo spóźnionego startu w obszarze różnorodności i w neoliberalizmie francuskie klasy panujące szybko nadrabiają braki. W raporcie rocznym francuskiego urzędu ds. walki z dyskryminacją i na rzecz równości (Haute autorité de lutte contre les discriminations et pour l'égalité, Halde) za rok 2006 prezes Louis Schweitzer przedstawił swoje oryginalne ujęcie

koncepcji równości: „Jeśli wierzymy w równość, musimy przyznać, że brak różnorodności stanowi jasny sygnał istnienia dyskryminacji lub niewystarczająco zabezpieczonej równości szans.”⁶ Krótko mówiąc, jeśli wśród tych, którzy zarabiają więcej od reszty świata, są sami tylko biali mężczyźni, pojawia się problem. Ale jeśli wśród nich znajdują się też czarni, śniadzi i kobiety, problem automatycznie zniknie. Kiedy wasze pochodzenie etniczne czy płeć pozbawia was szans na sukces, jakie mają inni, mamy do czynienia z problemem. Jeśli to tylko wasza własna bieda – problemu nie ma.

Część komentujących utrzymuje, że samo źródło tych uwag nie jest niepokalane. Na przykład, pierwsze kolegium kierownicze Halde niemal nie zawierało przedstawicieli „zauważalnych mniejszości”. Ponadto Louis Schweitzer przez długi czas kierował Renaultem – firmie tej kilka razy udowodniono dyskryminowanie związków zawodowych. Jednak w istocie rzeczy oba zarzuty chybiają celu. Problem Halde nie zasadza się na braku różnorodności w łonie kolegium, które kieruje jego działalnością. Nawet gdyby instytucja ta mogła się pod względem różnorodności równać ze zwycięską francuską ekipą piłkarską z 1998 r., to nie przyczyniłoby się to zmniejszenia nierówności ekonomicznych w społeczeństwie francuskim w większym stopniu niż gol strzelony przez Zidane’a czy Thurama.

Problem nie polega też na tym, że Louis Schweitzer okazał się winny dyskryminacji związkowców: to, że przeciwstawia się lewicowym związkom zawodowym, a jednocześnie występuje w obronie różnorodności, nie oznacza wcale, że jest hipokrytą. Sprzeczności nie ma też między trwałością elit a ich wewnętrznym różnicowaniem się – wysiłki na rzecz zróżnicowania mają służyć *legitymizacji* elit, a nie ich zniesieniu.

Będąc roztropnym człowiekiem biznesu, Louis Schweitzer wie, iż zaangażowanie po stronie różnorodności łączy się z określeniem nie tylko własnej pozycji politycznej, ale też konkretnej strategii marketingowej. Nad tą kwestią wyęzają głowy zarówno profesorowie szkół handlowych, jak i członkowie Indigènes de la République. W trosce o zapewnienie przyszłym członkom kadry kierowniczej w przedsiębiorstwach „globalnej i międzykulturowej perspektywy w obszarze biznesu” Carlos i Javier Rabassowie opublikowali we wrześniu 2007 r. „Wprowadzenie do zarządzania międzykulturowego – różnorodność w przedsiębiorstwie”⁷. Dziełko to nie jest specjalnie postępowe (w tej samej serii znalazły się: „Marketing w trzecim sektorze”, „Finanse rynkowe”, „Strategie finansowe” i „Coaching w 5 krokach”), jednak miłośnicy przygód znajdą dla siebie kilka niespodzianek w rozdziałach poświęconych różnorodności – w zasadzie każdy wiersz mógłby wyjść równie dobrze spod pióra kogoś z lewego skrzydła Indigènes.

I tak, na przykład, utyskiwania jednego z przywódców stowarzyszenia, Sadriego Khiari, na „uniformizującą lewicę” (która troszczy się o „różnorodność kulturową na skalę światową”, ale już nie „w samej Francji”⁸) współgrają z narzekaniami braci Rabasso na rządy europejskie, które wspierają różnorodność, jednak „tylko poza narodowymi granicami” (s. 168). Podczas gdy Indigènes nawołują „państwo i społeczeństwo” do „przeprowadzenia krytyki... egalitarnego uniwersalizmu wprowadzonego jeszcze za Rewolucji francuskiej” (z manifestu „L’ appel des Indigènes”), nasi dwaj profesorowie szkoły handlowej domagają się „nowej ‘rewolucji francuskiej’” wokół „kontrowersyjnych tematów różnorodności, dyskryminacji i działań pozytywnych” (s. 194).

Co może znaczyć fakt, że przedstawiciele świata biznesu i potomkowie „zniewolonych, skolonizowanych, traktowanych jak zwierzęta” „przodków” mają taką samą wizję świata? Oto różnorodność „w najszerszym ujęciu (pochodzenia etnicznego, płci,

6 <http://halde.fr/rapport-annuel/2006/>

7 C. A. i J. Rabasso, *Introduction au management interculturel; Pour une gestion de la diversité*, Ellipses, Paris 2007, s. 7.

8 Sadri Khiari, <http://www.indigenes-republique.org/spip.php?auteur6>, 18 listopada 2006.

kalectwa, wieku, orientacji seksualnej)” osiągnęła status określany na łamach tygodnika ekonomicznego *Les Echos* mianem „imperatywu ekonomicznego”⁹, a lewica gotowa jest na równi z prawicą celebrować to wydarzenie.

Inaczej mówiąc, chodzi o logikę, zgodnie z którą fundamentalne kwestie społeczne zasadzają się na poszanowaniu różnic tożsamościowych, a nie na niwelowaniu różnic ekonomicznych. Logika ta zaczyna dominować we Francji, tak samo jak w Stanach Zjednoczonych. I tu, i tam neoliberalna prawica znalazła sobie wreszcie neoliberalną lewicę – domagającą się tego, co prawica lekką ręką i z błogosławieństwem na drogę może jej dać. Okazuje się, że kiedy chodzi o podnoszenie wydajności rynków pracy czy giełdy poprzez wzmacnianie różnorodności w przedsiębiorstwach („imperatyw ekonomiczny”), owa „odnowiona” lewica z niecierpliwością dąży do odegrania roli awangardy postępu.

Mówienie o zbieżnościach między neoliberalną prawicą a neoliberalną lewicą może się wydawać dość zaskakujące. Czyż w końcu Sarkozy nie został wybrany w 2007 r. dzięki programowi podkreślającemu tożsamość narodową? Czy nie oczarował w trakcie swej kampanii najbardziej konserwatywnych intelektualistów w rodzaju Alaina Finkielkrauta? Czy po objęciu urzędu nie zabrał się natychmiast do tworzenia ministerstwa ds. imigracji i tożsamości narodowej? Owszem, ale gdy tylko ministerstwo ruszyło, Sarkozy oznajmił – w styczniu 2008 r. – że „Różnorodność jest dobra dla każdego”. Zaraz potem oświadczył, że będzie walczył w jej sprawie przez całą kadencję.

Tymczasem neoliberalna lewica atakuje Sarkozy’ego z taką siłą, jak gdyby okazał się prawdziwym rasistą. Wyjaśnienie tego fenomenu jest proste i logiczne: gdyby neoliberalna lewica nie odmalowywała neoliberalnej prawicy na wzór dawnej prawicy ksenofobów, nie miałyby już się od niej jak odróżniać. To dlatego redaktor naczelny *Libération*, Laurent Joffrin, świętuje za każdym razem, kiedy Sarkozy’emu wymknie się jakiś niepokojący lapsus na temat imigracji czy narodowej tożsamości.

W rzeczywistości neoliberalnej lewicy bliżej jest do Nicolasa Sarkozy’ego, niż Sarkozy’emu do Jeana-Marie Le Pena – zgadzają się w pochwałę kapitalizmu (umiarkowanego), gospodarki rynkowej (regulowanej) i wolnej wymiany (w granicach rozsądku). Oczywiście francuski prezydent wciąż ma pewną przewagę – gdyż może to realizować. Natomiast Partia Socjalistyczna – co zauważa z nutą melancholii nawet sam Joffrin – wciąż stara się nadać „słowu socjalizm współczesną definicję, która jednocześnie jasno odgraniczałaby je od linii politycznej UNP.”¹⁰

Najwyraźniej celem jest nazywanie się lewicą bez konieczności faktycznego przyjmowania lewicowych pozycji politycznych – w końcu, i to znacznie ułatwia decyzję, radykalna krytyka kapitalizmu nie uchodzi za coś „na czasie”. My, Amerykanie, znaleźliśmy więc wyjście z kłopotów: bez końca kłócimy się o tożsamość, wynajdując coraz to nowe sposoby odróżniania lewej od prawej. A więc sprzeciwiamy się dyskryminacji pozytywnej na prawicy (gdyż w istocie rzeczy – jak twierdzą republikanie – przekłada się na dyskryminację białych), lub popieramy ją na lewicy (albowiem, replikują demokraci, winni jesteśmy to czarnym za lata ich dyskryminowania). Krótko mówiąc, znaleźliśmy sobie jakieś zajęcie.

Wystarczy porównać, jakie zobowiązania wiążą się z kwestią różnorodności (wszyscy powinni być mili dla siebie nawzajem), a jakie implikuje kwestia równości (niektórzy powinni zrezygnować ze swego bogactwa). Widać, do jakiego stopnia zaangażowanie na rzecz różnorodności mogło przekształcić polityczny projekt lewicy amerykańskiej w program mający sprawić, by kolorowi czy „odmiennie” zorientowani seksualnie bogacze czuli się „lepiej”, nie wdając się w to, co wydatnie przyczynia się do ich „lepszego samopoczucia” – kwestię pieniędzy.

A przecież nie zawsze tak było. Bobby Seale, bojownik o prawa człowieka i

⁹ *Les Echos*, 22 lutego 2008.

¹⁰ *Libération*, 31 marca 2008.

współzałożyciel amerykańskiej partii Czarnych Panter (1966 r.) ostrzegał swych towarzyszy: „Ci wszyscy, którzy mają nadzieję na wypaczenie obrazu naszej walki, wysuwając na pierwszy plan różnice etniczne, przyczyniają się do utrzymania wyzysku mas: białych biednych, czarnych biednych, brązowych [Hispano], Indian, biednych Chińczyków i Japończyków.” Dla Seale’a sprawa była jasna: „nie przewalczymy kapitalistycznego wyzysku jakimś kapitalizmem czarnych. Kapitalizm zwalcza się socjalizmem.”¹¹ Tylko czy odejście od takiej perspektywy musiało w konsekwencji prowadzić do wspierania czarnego kapitalizmu?

Nie wystarczy nam udawać, że naszym prawdziwym problemem są różnice kulturowe, a nie ekonomiczne – postanowiliśmy pójść dalej i traktować różnice ekonomiczne *tak jakby* były *one* różnicami kulturowymi. Oczekuje się od nas dzisiaj okazywania biednym szacunku. Musimy przestać postrzegać ich w kategorii ofiar – takie traktowanie byłoby okazywaniem wyższości, negowaniem ich „indywidualności”.

Tymczasem jeśli uda nam się przyjąć pogląd, że biedni to nie osoby, którym brakuje pieniędzy, ale jednostki, którym brakuje uznania, to nasza własna „postawa” względem nich, a już nie ich ubóstwo okaże się problemem wymagającym rozwiązania. W ten sposób możemy skupić wysiłki nie tyle nie eliminacji podziałów klasowych, co na usuwaniu tak zwanego w Ameryce „klasizmu”. Trick polega na tym, by analizować nierówności jako konsekwencje naszych uprzedzeń, a nie naszego systemu społecznego: projekty dążące do stworzenia bardziej egalitarnego społeczeństwa zastępują się przez plany zakładające wyrzeczenie się (przez nas, ale w szczególności przez innych) rasizmu, seksizmu, klasizmu i homofobii.

Francja oczywiście również może przyjąć taką strategię, jeśli sobie życzy. Niekończąca się debata w sprawie „chust w szkole” zwiastuje tu pełne powodzenie. W pewnym sensie, jak podkreślał Pierre Tévanian, chodzi tu o „fałszywą debatę” - ileś tam dziewcząt zakutanych w chustki nie stanowi dla Francji czy francuskiego systemu edukacyjnego żadnego zagrożenia – ich celem nie było też atakowanie świętej zasady świeckości. Skoro tak, to dlaczego ta dyskusja przybrała aż takie rozmiary? Tévanian utrzymuje, że chodzi o „ukryty rasizm, który można odnaleźć we wszystkich środowiskach społecznych i w każdym nurcie politycznym.”¹² Ale odpowiedź ta jest tylko częściowo – można by powiedzieć, że jest to wręcz *symptomatyczne* – trafna. Debata wokół chust pokazała bowiem uwodzicielską siłę „antyrasizmu” dla jednych i „antyseksizmu” dla drugich.

Oba obozy miały przy tym używanie. Jeden oskarżał drugi o rasizm, drugi wytaczał pierwszemu procesy o seksizm. „Sprzeciwicie się noszeniu islamskich chust tylko dlatego, że macie w pogardzie prawa muzułmanów!” „A wam chusty te tak się podobają, ponieważ nie szanujecie praw muzułmańskich kobiet!” Do spektakularnego sukcesu przyczyniło się z pewnością to, że – podobnie jak w przypadku analogicznych polemik w Stanach Zjednoczonych – debata ani na moment nie wyszła poza kwestie tożsamościowe.

Okazji do wprowadzania tego rodzaju kontrowersyjnych tematów na scenę publiczną nie brakuje. Już chociażby debata o francuskiej pamięci historycznej oferuje źródło nie do wyczerpania. Podczas gdy lewica – głosem Indigènes – grzmi, że Francja całkowicie zaniedbała kwestię „rehabilitacji i promocji *naszej* historii w przestrzeni publicznej” (podkreślenie moje), konserwatywna prawica – głosami Alaina Finkielkrauta *et consortes* – odpowiada, że Indigènes powinni albo zacząć uważać historię Francji za *własną*, albo przypomnieć sobie, że wciąż przysługuje im „prawo do opuszczenia tego kraju”¹³.

Finkielkraut jest szczególnie zgryźliwy pod adresem wszystkich tych, którzy

11 B. Seale, *Seize the Time. The Story of the Black Panther Party and Huey P. Newton*, Black Classic Press, Baltimore 1991, s. 71.

12 P. Tévanian, *Le Voile médiatique. Un faux débat: l'affaire du foulard islamique*, Raisons d’agir, Paris 2005, s. 12.

13 A. Finkielkraut, „Quelle sorte de Français sont-ils?”, rozmowa z Dorem Mishani i Aurelią Smotriez, *Ha’aretz*, Tel Aviv, 17 listopada 2005.

domagają się francuskiej „pokuty” za nadużycia i zbrodnie popełniane w przeszłości, ale już jego uczniowie z Politechniki (którzy już jako szefowie przedsiębiorstw wcale nie chcieliby, aby cała ta tania siła robocza skorzystała z „prawa do opuszczenia kraju”) zdążyli przyswoić sobie lekcję, której dawno nauczyli się ich koledzy z Ameryki. Okazywanie ludziom szacunku – respektowanie ich kultury, historii, seksualności, stylu ubierania i tak dalej – wychodzi znacznie taniej, niż wypłacanie im sowitych wynagrodzeń.

Yazid Sabeg, współautor dzieła o „organizowaniu różnorodności w łonie przedsiębiorstwa”¹⁴ i jednocześnie szef dużej firmy, w listopadzie 2008 r. opublikował manifest o śmiałym tytule „Tak, możemy!”¹⁵ Miesiąc później szef francuskiego rządu wręczył mu nominację na stanowisko „komisarza do spraw różnorodności i wyrównywania szans”. „Ameryka potwierdziła aktualność modelu demokratycznego ufundowanego na równym traktowaniu i różnorodności” - czytamy w manifestie podpisanym przez osobowości z lewej i prawej strony sceny politycznej i promowanym przez Carle Bruni-Sarkozy. Ona sama ocenia, że „należy pomóc elitom się zmienić”. Nie tyle po to, by trochę potrząsnąć ich elitarnym statusem, ale by stały się w większym stopniu czarne, muzułmańskie i sfeminizowane. Amerykański sen.

Tłumaczyła Agata Czarnacka

14 Y. Sabeg, Ch. Charlotin, *La Diversité dans l'entreprise, comment la réaliser?*, éditions d'Organisation, Paris 2006.

15 *Le Journal du dimanche*, 9 listopada 2008.